



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



B

A Ś Ń

O WYRWIDĘBIE I WALIGÓRZE

przez

Adama Lacha Szymańskiego.

Gdzie dziś się łytni chyli łąn
Pod wiatru lekkim tchnieniem,
Tam dawniej obszar ciemnych puszc
Czarnym zalegał cieniem;

A wiatr, gdy wpał, piekielny tan
Zawodził — i w takt dziki
Trząsł konarami starych drzew,
Niósł szumy, świsty, krzyki.

Gdzie dzisiaj szarak pośród niw
Nastawia w trwodze słuchy,
Tam dawniej dzików, zubrów biegł
Przez puszcę pomruk głuchy;
A wilk i niedźwiedź nie był dziw
Dla ludzi w one czasy,

Gdy zamieszkiwał gruby zwierz
Bór ciemny, gęste lasy.

Od owych czasów minął już
Nie jeden, nie dwa wieki
I wiele przepłynęło wód
Przez nasze ciche rzeki.

I wiele przeciągnęło burz,
Huczących nad polami,
A do tych czasów dawnych myśl
Pociąga coś i mami.

* * *
Myśliwiec jeden w puszczy żył,
Miał żonę cudnej krasy,
Dobroci pełne serce jej
Słynęło w owe czasy.

Więc też myśliwiec z całych sił
Pracował wciąż w zapale,
Dla żony z łowu na łów biegł,
By trosk nie znała wcale.

Zrywał się, nim zajaśniał świt
I w puszczy szedł gęstwinę,
Bez pełnych nie powracał rąk,
Najlepszą niósł zwierzynę.
W zabiegach więc o wspólny byt
Choć upływało życie,
W ich duszach szczęścia jaśniał blask
Bo żyli pracowicie.

Do czasu tylko lepszy los
Ośłania nas skrzydłami
I szczęście mija jako kwiat
Co wiosny barwą mami;

Niespodziewany pada cios,
Początek dając męce:
— Myśliwiec poszedł raz na łów
I nie powrócił więcej.

Czy go gdzie pożarł dziki zwierz?
Śmierć w rzece znalazł na dnie?
Naprawdę żona dociec chce:
— Któż dojdzie, któż odgadnie?

Próżno szukała wzdłuż i wszecz
Dzień jeden, drugi, trzeci,
Ostatni zgasł nadziei blask,
Nic go już nie roznieci.

I wylewała morze łez;
W żalu nad stratą męża,
Gaśnie w niej zwolna życia skra,
Rozpacz i żal zwycięża.

I dla niej wkrótce nadszedł kres
Umarła wnet z tęsknoty
Za ukochanym mężem swym:
Zostały dwie sieroty.

Któż się maleństwem zajmie, któż
Nakarmi niemowlęta?
Umarła matka, więc nikt już
Nikt o nich nie pamięta.

Bo i mil dziesięć wszecz i wzdłuż
Ni chata, ni opłotek,
Gdzieby przytułek znalazł się
Dla dwojga tych sierotek.

Ale los szczeniąc nie dał im,
Ład wnosząc, tam gdzie nierząd,
W braku opieki ludzkich rąk
Dał im opiekę zwierząt.

I ubiegały się o prym,
Kiedy je los zaszczyca
W niemowląt wychowaniu tych
Wilczyca, — niedźwiedzica.

I rosły dzieci szybko wraz,
Codzień mężniejąc w siły,
Wilczyca, niedźwiedzica wciąż
Troskliwie je karmiły.
Więc choć niedługi minął czas,
Co szybciej strzały leci,
Zdążyli już rozwinąć się
W mężnych młodzianów z dzieci.

Pierwszy imieniem Wyrwidąb
Z mocnej był znan prawicy,
Wyrwał drzewo niby kłos
Ten pupil niedźwiedzicy;
A drugi skalny walił zrab,
Choćby ten sięgał w chmury
I przez to zdobył sobie w krąg
Przez wisko Waligóry.

Bracia w swych ramion ufni moc
Wyszli w świat na przewiady,
Pewni, że wszędzie siłą swą
Usuną wnet zawady.

I szli tak dzień i szli tak noc,
Obeszli szmat niemały,
Aż ich zmusiły wstrzymać krok
W poprzek stojące skały.

A u podnóża owych skał
Człowieczek jakiś niski
Stojąc w niemocy patrzył wzwyz
Na głazów obeliski.

Napróżno szczyty przebyć chciał,
Próżno się dał na stoki,
Zbyt wielki skłon, zbyt twardy zrab
Tej skalnej był opoki.

(d. c. n.)



RADY NA WAKACYE.

POGADANKA Z DZIEDZINY HYGIENY.

Kto chce chorować?

Także pytanie! A któżby to chciał szczególniejsze podczas nadchodzących już wakacyi leżeć w łóżku, albo nawet nie wychodzić z pokoju, skoro tylko zmierzchn zapadnie i słońce przestanie dogrzewać? Któżby chciał pić jakieś wody, zażywać różne krople, mikstury, proszki i inne specyjały łacińskiej kuchni?

Nie! czytelnicy Wieczorów takiego złego gustu nie mają. Ponieważ jednak choroba na gusta ludzkie nie zwraca wcale uwagi, pozwólcie waszemu higienicznemu pogwarzyć z wami nieco, i wyłuszczyć kilka rad zbawienych w kwestyi możliwego uniknięcia różnych chorobliwych stanów organizmu! Wspomnę nawiasem, że nauka, która zajmuje się utrzymaniem zdrowia i zapobieganiem chorobom, nazywa się higieną, od Hygiei, bogini zdrowia z mitologii greckiej.

Znamy wiele młodych osób, które wyobrażają sobie, że dbanie o zdrowie równa się tchórzostwu, marnej z niewieściąłości, brzydkiemu egoizmowi.

Ja zaś, doświadczony higienista nietylko przeczę tym sądom, ale nawet śmieję się z takich zapatrywań. Bo proszę mi powiedzieć, kto lepiej pracować może na jakimkolwiek polu: człowiek zdrowy czy chory? Któż z nich dwóch pożyteczniejszym będzie? A chęć pożytecznego zużytkowania danego nam życia nie jest przecie chęcią tchórzliwą, zniechęcającą, egoistyczną. Francuzi mają przysłowie: tutaj doskonale dając się zastosować: *Qui veut la fin, veut les moyens*; (kto pragnie dojść do celu, niech dba o środki, które doń wiodą) więc kto chce być pożytecznym, odważnym, silnym, niechże dba o zdrowie.

Kaszel, katar oto dolegliwości zwykłe, codzienne, wynikające najczęściej z nagłego przejścia z temperatury gorącej do zimnej, z tak zwanego *zazębienia*, o którym najprzód chęć pomówić.

— Ależ w lecie wszędzie jest gorąco?

— Czasem wszędzie bywa chłodno, odpowiem, jak to naprzykład miało miejsce w roku zeszłym. W cieniu, w pokoju, którego okna na północ wychodzą, jest zawsze chłodniej niż na przestrzeniach, oblaanych słońcem. Jeżeli spoceni bieganiem staniemy w cieniu, wtedy chłód odczujemy jeszcze wyraźniej, w skutek wilgoci jaka ciało nasze otacza.

Jeszcze gorzej będzie, jeżeli spoceni wejdziemy

do kąpieli. Zmiana temperatury będzie zbyt silna dla naszego organizmu i zaraz uczujemy nieprzyjemne skutki, zaognienie czyli zapalenie przewodów oddechowych, z rozmaitemi ich następstwami, które pospolicie nazywają się kaszlem, katarą, chrypką.

A jednak łatwo tego wszystkiego uniknąć, po prostu nie spiesząc się z wchodzeniem do wody i pamiętając zawsze, aby należycie ochłonić przedtem z gorącą i zmęczenia.

Są organizmy tak silne lub tak zahartowane, że te małe zmiany temperatury mogą im raz i drugi nie zaszkodzić. Proszę jednak łaskawie zauważyć, że w wielu innych organizmach, pozornie bardzo zdrowych, te same zmiany sprowadzają zapalenie gardła, oskrzeli, płuc, opłucnej, a to są, już prawdziwe choroby nie zaś chwilowe niedomagania.

Przeżyną zaziębienia może być także szklanka zimnej wody albo porcja lodów spożyta dla ochłody, gdy jesteśmy zgrzani, zmęczeni. Tego rodzaju ochłoda często powoduje porządną chrypkę, jeżeli nie ból gardła. A jak to przyjemnie potem mówić chrapliwym, grubym głosem albo też czuć ból za każdym przełknięciem choćby łyżeczki herbaty? Z wodą w ogóle należy być ostrożnym, nie pić nigdy takiej, która pochodzi z brudnych studni i zbiorników, z kałuż, stawów i t. p. Taka woda bowiem posiada wiele zarazków i może nabawić tyfusu, malaryi i innych ciężkich chorób.

A więc radzę wam wśród najweselszej, najlepszej zabawy nie tracić zupełnie rozwagi, i nie wyobrażać sobie, że niedbałość o zdrowie jest dowodem dzielności i odwagi. Przesada tylko w tym względzie jest śmieszna.

Z tego co powiedziałem powyżej wywnioskować łatwo, że przeciągi spowodowane otwieraniem na przestraz drzwi i okien mogą być dla zdrowia szkodliwe, że na spacerach, wycieczkach, z których późną nocą do domu wracamy, trzeba mieć z sobą okrycia, by się przed chłodem zabezpieczyć. Podczas spacerów, wycieczek deszcz niespodziewany spotkać nas też może.

— Czy i to szkodzi zdrowiu, nudny higienisto?

— Deszcz ciepły nie szkodzi zwykle; jeśli nas tylko pokropi, może co najwyżej zaszkodzić naszemu ubraniu; ale deszcz połączony z nagłym obniżeniem temperatury może wywołać zaziębienie. Po powrocie do domu trzeba zdjąć mokre odzienie wytrzeć się doskonale ręcznikiem dbając szczególnie, aby nogi nie były wilgotne a kiedy już suche mamy na sobie ubranie, radzę napić się gorącej herbaty lub mleka.

A teraz, nudny higienista żegna was czytelnicy, ale zastrzega sobie, że ma dużo do powiedzenia w tej ważnej sprawie.

A. M.

BŁEKITNA WSTĘGA.

Powieść z XVII wieku

przez Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).



na tę myśl tak się zaczerwieniła, że aż dziękowała Bogu, że nikt w ciemności jej rumieńców nie widzi.

Wtem doszły do uszu siedzących gwarne, niby wesołe a jednak groźne i niezrozumiałe okrzyki. Ktoś czepiał się sań, jakby je chciał przewrócić, czy dostać się do wnętrza.

— Panie, miejże nas w swojej świętej opiece... — modliła się królowna, drżąc cała.

— Najmiłościwsza pani, bronić cię będziemy — uspokajała Kornelka, gotowa na wszelki wypadek choćby życie za swoją opiekunkę położyć. Królowna wszakże znękana wieloma kłopotami i niedomagająca od niejakiego czasu, drżała z dziwnego lęku, który ją przejmował.

— Mojaś ty, mojaś ty! — mówiła Kornelka, obejmując jej kolana pieszczotliwie, jak to zwykle czyniła, gdy królowna w smutek wpadała.

— Łotrzykowie jacyś... taj nas niechybnie zabiją! — lamentowała Zofka, przypominając sobie opowiadania zmyślone i prawdziwe, jakich się nieraz nasłuchiwała.

— Jest tam przecie pan Jagmunt — uspakajała ją Kornelka, mając wielką ufność w mężstwo i siłę młodzieńca.

Krzyki tymczasem się wzmagaly, słycać było brzęk szabel i strzał padł nagle.

Jednocześnie szarpnął ktoś drzwiczki kolebki, wołając:

— *Nous-nous mettrons maintenant à l'aise!* (Umieściemy się teraz wygodnie).

Lecz zaledwie wymówił te słowa ochryplym, pijanym głosem, odskoczył, wołając:

— *Fuir!* (Uciekać!)

Zaraz też gwar ucichł i słycać było pośpiech uciekających.

Jednocześnie Zofka zsunęła się do kolan królowny z bolesnym okrzykiem i drżąc cała przytuliła się do niej.

I miała czego, w otwierającym bowiem poznała swego wielbiciela, księcia de Balagny.

On to bowiem z liczną swoją czeredą, przepędzając noc na pijatyce w uczęszczanej przez Francuzów na Kleparzu winiarni, natknął się na sanie królowny. Nie bacząc na wołanie Jagmunta i pocztu złożonego zaledwie z kilku ludzi, chciał wyrzucić będące w saniach osoby i zapewnić sobie wygodny powrót do Krakowa, jak to mu się już kiedyś udało. Lecz Jagmunt dobył szabli i własną osobą bronił do drzwiczek przystępu.

Podniecony trunkiem, rozgniewany młodzik, dobył pistoletów i kiedy jego pijana czereda, rzucając najobelżywsze wyrazy, walczyła ze skromnym orszakiem królowny, on strzelił do stojącego przy saniach Jagmunta. Ten zachwiał się, a Balagny chciał dokonać swego niefortunnego czynu, otworzył drzwiczki kolebki i spotkał się oko w oko ze wzrokiem Zofki, wzrok ten odrazu go wytrzeźwił i do odwrotu przystąpił.

Królowna nie wiedząc nic, czemu winna ocalenie, odzyskała teraz przytomność. Kornelka zaś wyjrzała z sani, a ujrawszy leżącego na śniegu człowieka, nie namyślając się, wyskoczyła przez otwarte drzwiczki.

Kilku ludzi podnosiło w tej chwili rannego.

— Co to, co się stało? — spytała Kornelka.

— Raniono nam pana Jagmunta — odpowiedziało, nacierając go śniegiem.

— Jagmunt! — zawołała Kornelka, i zerwawszy z głowy dużą chustkę, zarzuciła na okrwawione ramię młodzieńca.

— Kornelko! co się z nią stało? — zawołała zaniepokojona królowna, nie czując przy sobie ulubienicy.

Tymczasem do nóg jej tuliła się Zofka, a tuliła z taką serdecznością, z jaką może nigdy nie przypadała nawet do nóg swej matki.

— Co się stało, co się stało? — powtarzała królowna.

— Kornelka wysiadła, bo tam ktoś ranny... — wyszeptwała Zofka zmienionym głosem.

— Ranny? a toż go trzeba choćby tutaj... — mówiła królowna, a idąc za głosem swego dobrego serca usunęła się w głąb kolebki.

— Najmiłościwsza pani, pan Jagmunt ranny, omdlał — ozwał się głos Kornelki.

— Dawajcież go tutaj!... — zawołała królowna. — A napastnicy? — spytała.

— Pierzchnęli, niema nikogo — odrzekła Kornelka, dopomagając do ułożenia na przednim siedzeniu dziełnego młodzieńca.

— Ależ, ależ... możebym mógł na koniu... — ozwał się, przychodząc do siebie Jagmunt.

— Leż tutaj i nie troszcz się o nic więcej! — rzekła rozkazującym głosem Anna.

Zofka na rozkaz królowny obok niej usiadła, Kornelka ukłękłszy, podtrzymywała głowę rannego.

Orszak, zmniejszony o jednego obrońcę, otoczył sanie, woźnica przynaglił zmęczone konie, pachołcy z przednich lejcowych świsnęli krótkimi biczeniami i sanie ruszyły z miejsc.

Śnieżycą, uprzykrzywszy sobie wielką zaciekłość, poczęła ustawać, chmury uwolnione z wielkiego ciężaru, rozsuwały się powoli, na niebie tu i owdzie połyskiwały blade, senne, jakby znużone walką z chmurami gwiazdy, a sanie choć ciężko, sunęły po śniegu.

Jagmunt oparłszy głowę na dłoniach Kornelki, zdawał się drzeć. Ta chcąc poprawić zwieszony jego lewe ramię, uczuła płynącą krew. Oprócz bowiem postrzału w dłoń, którą mu na razie towarzysze opatrzyli, były snąć poważniejsze cięcia szablą i te go przyprawiły o omdlenie. Kornelka, poczuwszy krew, a nie chcąc niepokoić i przstraszać królowny, zerwała z głowy błękitną przepaskę i owiązała nią ramię rannego.

W tej chwili z Floryańskiej bramy ukazał się błysk pochodni. Był to orszak z podpułkownikiem Wirądą na czele, wysłany przez księcia Holszańskiego naprzeciw opóźniającej się z przybyciem królowny.

X.

Turniej.

Czy królowna nie wiedziała, czy też wiedzieć nie chciała, kto był sprawcą napadu, trudno orzec na pewno.

Nie można też twierdzić, że Kornelka wśród ciemności poznała Balagny'ego, dworzanie zaś i pachołcy, staczający walkę z napastnikami, nie znali głównego ich dowódcy, prócz tego mieli rozkaz Jagmunta, żeby nie wymienianikogo. Powtarzali więc jeno:

— Któż ich tam wie, co za jedni — mówili i po naszymu i obcą mową.

I rzeczywiście byli niestety, między napastnikami i swoi, a że wśród Francuzów, którzy poprzedzili dwór nowego monarchy, znajdowała się rozmaita hołota, o tem każdy wiedział dokładnie.

W ogóle zaś, o sprawie tej jak najmniej powtarzano.

Królowna zaś mówiła:

— Pan Bóg wyratował nas z niebezpieczeństwa, Jego też ręka sprawiedliwość na napastników wymierzy, ludzie ścigając, mogliby niewinnych za winnych pokarać i gniew Wszchemocnego ściągnąć.

Zofka nie powiedziała nawet rodzicom, z czym wzrokiem w oną pamiętną noc się spotkała, który w jednej chwili wywołał u niej wstręt i przerażenie.

Stała się tylko teraz zamyśloną i dziwnie jakoś złagodniała. Przypadała często jako onej nocy do kolan królowny, jakby u niej chciała szukać pociechy i opieki.

I snąć chyba przyszło między królowną i nie zbyt lubioną z początku dwórką do jakiegoś porozumienia, bo Anna często z nią wiodła sam na sam rozmowę, a potem, gładząc jej ciemną główkę, mówiła:

— Dobry grunt u ciebie dziewczeczko, bo i jakże z takiego zacnego domu mogłoby być inaczej; byłaś tylko popsuta hołdami, ale ci powiadam, że na wszelkie utęsknienia i smutki, na wszelkie bóle, co w serce jako strzała ugodzą, najskuteczniejszym balsamem modlitwa i oddanie się tym, co naszej pomocy potrzebują.

— Oj, wiem ja o tem, wiem — dodawała, wzdychając.

— Powoli z owej szorstkiej, nieprzyjemnej księżniczki, stawała się coraz przyjemniejsza i miłsza

dzieweczka, jeno głos gruby i jakby rozkazujący, jako dawniej pozostał.

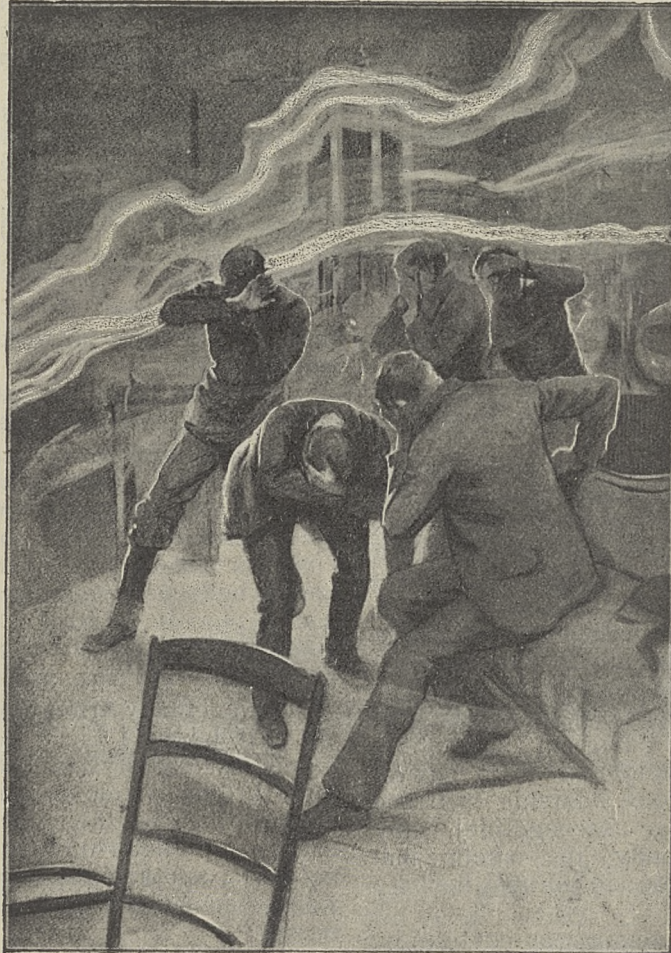
A już z Kornelką teraz w zażyłość i wielką amicję weszła, ale czy o księciu Balagny mówiły, któż to tam wiedzieć może.

Balagny zaś jak gdyby nigdy nic, przyszedł w kilka dni po przyjeździe królowny złożyć swoją czołobitność, rękę miał na temblaku i kłaniając się mówił:

— Byłbym wcześniej hołd mój złożył, ałem uległ wypadkowi...

— Jakiemuż to? — spytała, uśmiechając się do brotliwie królowna.

— Najmiłościwszy król polski Henryk, jest amatorem ślizgawki, we Francji z wielkim trudem i tylko na krótki czas mógł ją kazać urządzić. Że zaś w szlachtetnym kraju sama aura do tej zabawy po-



Zewsząd otoczył nas ogień.

maga, chciałem takową dla naszego pana przygotować...

Królowna uśmiechnęła się pobłaźliwie.

Balagny mówił dalej:

— Upatrzywszy więc stosowny teren, począłem go próbować, chcąc wyuczyć się zręcznego *туру*, ażeby dla naszego pana dobrym być partnerem. — I oto poślizgnąwszy się, zwicznęłem rękę — dodał, poprawiając temblaka.

— Bardzo nam przykro, że tak miłego kawalera i gościa w naszym kraju taki nieprzyjemny *casus* spotkał — odrzekła politycznie królowna, kładąc wielki nacisk na wyraz „gościa.”

(c. d. n.)

śmy w sąsiednich pokojach, jak szyby wypadły z okien. Przed oknem piorun strzaskał drzewo, zapalił krzaki jałowcu i powybił lejkowate otwory w piasku ulicznym. Chwilami zdawało się, że niebo wali się na nasze głowy, i że już nadszedł koniec świata. Byłem pewien, że willa tego nie wytrzyma, i miałem słusność.

Zaledwie Dolly obudził się zupełnie i zaledwie Jan Barker przetarł oczy, gdy pokój, w którym znajdowaliśmy się, wypełnił się dymem, czerwonemi płomieniami i oślepiającym światłem, zewsząd otoczył nas ogień, paląc wszystko po drodze i osmalając nam włosy. Rozeszła się woń siarki, zapach palącego się drzewa i huk tak przerażający, że staliśmy jak skamieniali. Piorun uderzył w dom i musieliśmy szukać ratunku w zabójczej mgłę.



Pierwsza komunia (str. 183).

Maxs Semberton.

Pałac w głębi oceanu.

(Dalszy ciąg).

Myslałem, że to czarownice wyprawiają swoje harce, chyba piorun uderzył w nasz dom!

Piotr mówił niby żartem, nie wiedział bowiem, iż jego słowa sprawdzą się niebawem.

Burza, grożąca nam od rana, wybuchła z niezwykłą siłą. Co chwila otwierało się niebo i grom wypadał po gromie, bijąc z taką mocą, że od samego wstrząśnienia trzeszczały wiązania dachu i słyszeli-

— Na Boga! dom się pali! ryknął Jan Barker rzucając się ku drzwiom. Za nim biegł Duncan Gray wołając:

— Ja was poprowadzę, czekajcie! tu o życie chodzi!

Zarzucił szal na szyję, zakrył nim usta i wypadł z płonącego domu. Całe lewe skrzydło i cały dach był w płomieniach. Wielkie kłęby dymu wzbijały się w górę, mieszając z żółtą mgłą, a gorąco było tak niezmierne, że zatrzymaliśmy się dopiero przy furtce od ogrodu. Potraciliśmy zupełnie głowy, jedni chcieli uciekać w góry, inni wołali, że ratunek znajdziemy tylko nad morzem. Bylibyśmy z pewnością poginęli od mgły i wyziewów, lecz zmęczenie zatrzymało nas, stanęliśmy, aby się naradzić, co dalej czynić.

— Nad morze! nad morze! wołał Piotr Bligh wskażcie mi drogę do morza, bo umieram!

Jan Barker zauważył: Świeże powietrze jest tylko w górach, tu się wszyscy podusimy.

Mały Dolly skarżył się jak dziecko: Nie mogę już ani kroku dalej zrobić, jestem taki zmęczony!

A ja nie miałem dla nich słowa pociechy, czekałem co powie doktor Gray.

— Pokażę wam drogę! zawołał, chociaż nie wiem czy pójdziecie za mną.

— Dlaczego doktorze, zapytałem, dlaczego?

— Ponieważ prowadzi do domu korsarza Edmunda Czerny rzekł wolno i dobitnie.

XIV.

Biały staw i co potem nastąpiło.

Odbiegliśmy nieco od willi, kiedy doktor pierwszy raz odezwał się. Burza odświeżyła trochę powietrze, ale nie tyle, ileśmy się spodziewali. Gwałtowny wicher, palił nas swym gorącym tchnieniem i przewalał z miejsca na miejsce kłęby gęstej mgły. Chwilami wzrok sięgał daleko, obejmował pola, łąki i lasy odległe, chwilami otaczał nas tak gęsty тумan, że nie widzieliśmy jeden drugiego, musieliśmy się za rękę trzymać, aby nie rozbiedz się na wszystkie strony. Jednym słowem przyroda siała tu hojną ręką śmierć i życie, raz cieszyliśmy się że oddychamy swobodnie, to znowu dusiły nas straszne wyziewy i prawie nieprzytomnych rzucały na spieczoną ziemię. Nie było więc schronienia. którem pogardzilibyśmy, śmierć nawet wydawała się nam rozkoszną wobec męki, którą cierpieliśmy.

— Doktorze zawołałem dysząc ciężko, prowadź nas do domu Edmunda Czernego. Nic nas gorszego nie spotka od tego rozbójnika, niż to, co teraz przechodzimy, prowadź a my pójdziemy za tobą.

Moi towarzysze powtórzyli to za mną; rozpacz ich ogarniała. Na tej strasznej wyspie życie uciekało, jak woda z rozbitego naczynia. Dziś jeszcze, gdy zamknę oczy, widzę Piotra, jak biegnie, potykając się i zatrzymując jak pijany, krzyczy zdławionym głosem:

— Wołałbym się znaleźć w kraterze wulkanu!

Biegliśmy wciąż przed siebie, aż po jakimś czasie zatrzymaliśmy się na chwilę odpoczynku na wyniosłej polance, gdzie powietrze było prawie czyste. Przecudny widok przedstawił się naszym oczom. Nad nami krążyły zwolna gromady ptaków, a od ich białych piór odbijało się purpurowe słońce i zdawało się, że całe niebo jest w ogniu. Krążyły bez ustanku, jak wielkie koło, to wyżej to znizując się nieco, a czasem któryś z nich widocznie odurzony wyziewami, związał skrzydła i jak kula spadał na ziemię. Zwierzęta leśne, dzikie psy, bydło, wszystko to biegało w nieładzie, rykiem i wyciem napełniało powietrze. W lesie mnóstwo drzew płonęło od uderzeń pioruna, inne stały rozdarte i osmolone, a po niebie sunęły ciężkie, chmury, przez które przedzierało się chwilami krwawe światło słońca.

Szedłem naprzód, nie rozumiejąc w jaki sposób Duncan Gray zaprowadzi nas do mieszkania Czernego. Wiedziałem, że nie posiada łodzi, a przecież wpływ żaden człowiek nie potrafi się dostać na odległe rafy, tembardziej teraz, kiedy rozhukane morze z wściekłością biło o skały i wdzierało się na stromy brzeg. On się też wcale nie kierował ku morzu, lecz szedł wprost do owego stawku, gdzie pierwszej nocy po wylądowaniu zginął jeden rozbójnik; szliśmy obok niego, woda była czysta i spokojna, w około rosły gęste drzewa i niktby się nie domyślił, jaką okropność i jaką tajemnicę, kryły ciche te fale. Ja przypominałem sobie tę naszą przygodę, i pomyślałem, że nie możemy się spodziewać litości ani od Czernego, ani od któregokolwiek z jego towa-

rzyszy. Doktor tymczasem zatrzymał się u wejścia do wąwozu, który się wrzynał w górę skalistą. Wąwóz był tak ciasny, że rozłożywszy ręce mogłem dotknąć obu jego ścian, a ściany te wznosiły się prostopadle, a końca ich nie widziałem, gdyż mgła i chmury zasłaniały wyższą ich część. Powietrze było mniej duszne — oddychaliśmy więc trochę swobodniej, chociaż pot nieustannie spływał nam z czoła i zalewał oczy. Dokoła było prawie ciemno, szliśmy bardzo ostrożnie, trzymając się ścian, nagle doktor zatrzymał się, wskazał czarną przepaść i rzekł zakasując rękawy:

— Tędy prowadzi nasza droga, musimy się więc postarać o światło. Niech mi który poda rękę, abym mógł latarnię wydostać. Niedawno czytałem opis tej wyspy przez owego Holendra, i teraz nam się to przyda.

Mówiąc to, wyciągnął do mnie rękę i nachylił się nad przepaścią, podczas gdy ja go mocno trzymałem.

— Byłem tu przed trzema dniami i zostawiłem latarnię, gdyż należę do ludzi ciekawych i lubię nowe odkrycia. Oto jest.

Wydobył lampkę bezpieczeństwa, jakich używają górnicy, zapalił ją niezwłocznie i oświetlił przepaść. Była to jama trzydzieści stóp głęboka o prostych ścianach, cała usypana drobnymi kamyczkami i kawałkami żelaza. Dla nas było to rzeczą zupełnie obojętną, ale co się nam wydało cenniejsze niż złoto, to powiew świeżego powietrza, który wydobywał się z tej jamy, pełen aromatu soli i traw morskich. Widocznie istniała tu z oceanem podziemna komunikacja. Pokładliśmy się wszyscy na brzegu i z upojeniem wciągaliśmy to ożywcze powietrze w zmęczone nasze płuca.

— Morze! morze! — zawołał Piotr Bligh. — Doktorze oddycham, ożyłem na nowo!

Wskazyaliśmy do owej studni, co było rzeczą dosyć łatwą i bezpieczną, bo drobny zwir i odłamki żelaza stanowiły tu jak gdyby miękką kobierzec, usiedliśmy obok siebie i przez długą chwilę byliśmy zajęci jedynie odpoczynkiem. Po chwili wstaliśmy i szliśmy za doktorem, który nas prowadził przez wązki tunel. Na końcu tego tunelu znajdowała się olbrzymia jaskinia, oświetlona z góry przez szczeliny, jak gdyby przez wązkie, gotyckie okna. Za tą jaskinią szła druga, za drugą trzecia, cały szereg, niby salony w pałacu królewskim. Jedne były okrągłe na wzór meczetów, inne wyniosłe jak katedry — niektóre przypominały salony bogatych ludzi, gdyż całe ściany i sufit pokryte były kryształami i świeciły jak drogie kamienie.

— Wprowadziłeś nas doktorze do zaklętego pałacu — ale co dalej — powiedz? co dalej!

Duncan Gray usiadł na kamieniu, otoczyliśmy go dokoła. Piotr Bligh wyjął fajkę z kieszeni, nałożył ją tytoniem i zapalił z rozkoszą. Przez chwilę trwało milczenie, doktor zamyślił się nad odpowiedzią, ja się zamyśliłem nad naszym przyszłym losem. Z daleka dolatywały nas szmer, jak gdyby płynącej wody, raz dał się słyszeć inny odgłos, ale nie umiałem sobie wytłumaczyć jego przyczyny.

Doktor podniósł nareszcie głowę i spojrzał na nas.

— Opowiem wam, skąd znam tę drogę: Odkrył ją Holender Hoyt i opisał w swoich pamiętnikach. Gdyby Czerny czytał je, to znałby i tę drogę, ale on ich nie czytał. Wkrótce po przybyciu na wyspę przyszedłem tutaj, gdyż byłem ciekawy przekonać się, czy autor pamiętnika mówił prawdę. Chciałem także mieć schronienie przed moim pryncypałem w razie, gdyby mi się wydał nieżyczliwy — miałem słuszną przyczynę. Idąc ciągle naprzód dojdziemy do pałacy Czernego. Teraz powiedzcie, czy chcecie pójść do tego pałacu, czy zawrócić? Od was to teraz zależy.

Zapaliłem fajkę, a ponieważ dotychczas moje zdanie zawsze przeważało, więc i teraz rzekłem:

— Mój instykt marynarski mówi mi, że dojdziemy do wyspy wśród raf koralowych. Czy mam słuszną, doktorze?

Doktor nałożył okulary, spojrzął na mnie swojemi mądrymi oczami. Wyglądał jak gdyby go nasza przygoda bardzo zajmowała, a nawet bawiła.

(d. c. n.)

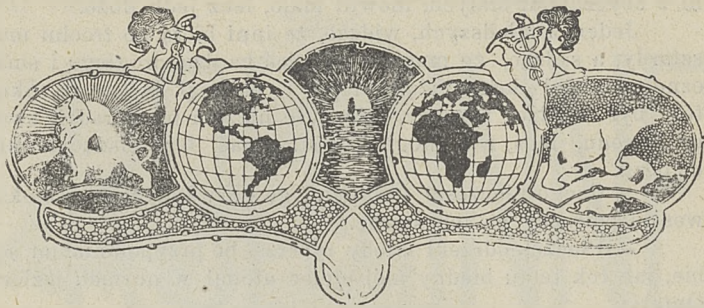
Nasze ryciny.

Pierwsza komunja. Podniosłą i uroczystą chwilę przedstawił malarz francuski Blanchard na swym obrazie, chwilę, którą właśnie w tym czasie około Zielonych Świątek i Bożego Ciała przeżywa wiele naszych czytelników i czytelniczek.

Pierwsza komunja! pierwsze przystąpienie do Sakramentu Ciała i Krwi Pańskiej, jest to w życiu młodzieży akt wielkiej wagi, utrwalający dusze świadomie w wierze i miłości Bożej. Pierwszy to krok do dojrzałego zapatrywania się na własne postępowanie, na uczynki swoje — ich znaczenie, na bujny lot swych myśli, krok, rozpoczęty pierwszym jasno odczuciem dostąpieniem łaski Boskiej. Nie dziw więc, że zdawien dawna od początków chrześcijaństwa przybie-rano katechumenów na tę uroczystą chwilę, w najpiękniejsze jakby godowe szaty, nie dziw, że w oczach i obliczach przystępujących malują się tak żywo głębokie wzruszenia i radość duszy, jak u tych dziewczątek, które widzimy klęczące przed ołtarzem.

Chłopiec, piszący obiema rękami. Przedstawiam państwu pana Karola Barreta z Filadelfii; młodzie-niec ten bardzo zdolny i pilny, wyrobił w sobie rzadką umiejętność pisania jednocześnie prawą i lewą ręką. Kładzie przed sobą arkusz papieru, bierze pióro w każdą rękę i pisze te same słowa prawą jak zwykle, a lewą na odwrót, jak to widzimy na podpisie pod ryciną, a czyni to szybko i sprawnie bez żadnego namysłu lub zastanowienia. Chcąc przeczytać pi-smo lewej ręki trzeba postawić je przed lusterkiem, a wówczas odbicie wyjdzie jak pismo zwyczajne.

Taki okaz dwuręczności jest bardzo rzadki, ale w Ameryce północnej zdawna już panuje przekonanie u wielu pedagogów, że zaniedbanie lewej ręki nie jest słusne, że trzeba i tę rękę kształcić zarówno, jak prawą, przez co zyskamy niejedno, ale dwa wy-borne narzędzia, zdolne do wszelkich czynności. Do-wodzą, że uprzedzenie do lewej ręki jest nieuzasa-dnione, że może ona wykonywać wszelkie trudniej-sze ruchy, jak pisanie, rysowanie, władanie narzędzia-mi bronią, i t. p. z taką samą zręcznością, jak pra-wa, byleby ją tylko odpowiednio wyrobić. Świadczą o tem najlepiej ludzie, pozbawieni ręki prawej, któ-rzy z konieczności musieli wydoskonalić sprawność swej lewicy. W Filadelfii istnieje kilka szkół, gdzie uczą używania lewej ręki na równi z prawą z wiel-kim powodzeniem. My zaś radzimy czytelnikom na-szym, aby we wszelkich grach, zabawach, gymnasty-ce i t. p. zwracali uwagi na lewą rękę i starali się rozwijać ją, jak prawą.



ZE ŚWIATA.

Pomnik Grottgera w Krakowie. O znakomitym artyście Arturze Grottgerze zmarłym w 1867 r. pisaliśmy nie-bzbyt dawno w „Wieczorach,” w Historji naszego malarstwa i podawaliśmy często jego rysunki. Teraz jako główną nagrodę naszego konkursu rysunkowego, przeznacziliśmy 11 kartonów z najwspanialszej kompozycji jego „Wojna.” Nie obcą jest więc ani szlachetna postać Grottgera ani jego dzieło czy-telnikom „Wieczorów,” a niebawem podamy dłuższy o nim artykuł. Obok Jana Matejki był to największy nasz geniusz malarski XIX wieku. W dniu 16 maja r. b. odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika mistrza w Krakowie. Pomnik wyko-nany przez Wacława Szymanowskiego, składa się z biustu brązowego Grottgera, stojącego na wysokim o silnej podsta-wie słupie granitowym. Postawiono go na Plantach naprze-ciw gmachu Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. W cza-sie uroczystości przemawiali Stanisław Tarnowski, prezes Aka-demii Umiejętności, prezydent miasta, artysta malarz Piotr Stachiewicz, przytem złożono wiele wieńców u stóp pomnika.

Pamięci Mianowskiego. Na dwa dni przed odsłoni-ęciem pomnika Grottgera w Krakowie, w kościele po-Pijar-skim w Warszawie, odsłonięto i poświęcono pomnik doktora Józefa Mianowskiego, uczonego lekarza i rektora b. Szkoły Głównej Warszawskiej w latach 1863—1869. Mianowski urodzony w 1809 r. w gub. Kijowskiej, ukończył wydział lekarski uniwersytetu wileńskiego, był profesorem najprzód tegoż uni-wersytetu a potem akademii medyko-chirurgicznej w Peter-sburgu aż do r. 1860. Jako profesor, jako lekarz, a zwłaszcza jako zwierzchnik najwyższego zakładu naukowego i przewo-dnik młodzieży, położył w swoim czasie wielkie zasługi oko-ło rozwoju naszego życia umysłowego, i słusznie winien być wspomniany ze czcią i uznaniem przez następne pokolenia. Mianowski umarł we Włoszech w Sinigaglii 1879 r.

Muzeum Adama Mickiewicza w Paryżu. Staraniem najstarszego syna wielkiego poety, Władysława Mickie-wicza, który całe swe życie poświęcił na zbieranie wszelkich pozostałych po ojcu pamiątek i napisał najobszerniejsze o ży-ciu jego dzieło—powstało w Paryżu Muzeum tych cennych pa-miątek, mieszczące się w dużej sali biblioteki polskiej. Stoi tam w środku jego skromne biurko, na którym tyle napisał arcydzieł, a w salach i gablotach mnóstwo drobnych przed-miotów, które używał, lub które znajdowały się w jego mie-szkaniu. Są dalej jego listy, liczne rękopisy, portrety i foto-grafie, wszystkie wydania dzieł, przekłady na języki obce i t. p.

Niezwykły chłopiec. W jednym z miasteczek Stanu Missouri (Amer. Półn.) mieszka 5-o letni chłopczyk Robert Maclej, który jeszcze nie umie czytać i żadnych nauk nie po-bierał, a mimo tego zdumiewa wszystkich niezwykłą zdolno-scią do rachunków pamięciowych. Mnoży i dodaje w myśli bez trudu i z wielką szybkością ogromne liczby; może kiedyś bę-dzie z niego wielki matematyk.

Dowcip wodzów indyjskich. Niedawno prezydent Stanów Zjednoczonych wydawał wielki bankiet, na który za-prosił także kilku naczelników plemion indyjskich. W czasie obiadu czerwonoskórzy wodzowie zachowywali się z wielką



godnością i powagą, nie zdradzając wcale, że nie są oswoje-
ni z obyczajami białych; mówili mało, lecz jedli dużo.

Jeden z młodszych, widząc, że inni biorą po trochu musztardy, a sądząc, że musi to być coś bardzo drogiego i smacznego, wziął dość dużą porcję i połknął ją odrazu. Skutek był bardzo przykry, ale gość niczem nie zdradził swego zawodu, lecz nie mógł powstrzymać łez, cisnących się do oczu.

— Czego płaczesz? — zapytał go stary Indyanin, z ciekawością patrzący na musztardę.

— Płacę—odrzekł młody rycerz— bo przypomniałem sobie, jak rok temu biedny mój ojciec utonął w nurtach jeziora Ontario.

Stary wódz nie na to nie odrzekł, lecz wziął sobie sporą porcję musztardy i połknął ją z takim samym skutkiem, jak jego sąsiad.

— A ty czemu płaczesz? — spytał go złośliwie ów młody.

— Ja płacę — odpowiedział spokojnie stary wódz — z żalu, że to ty zamiast ojca twego nie utonąłeś rok temu w jeziorze Ontario.

Chłopiec piszący obiema rękami.



Johnson & Co. True Bravery.

PROZA DO PRZEROBIECIA NA WIERSZE.

uł. Miri.

Zapada już mrok, biała gwiazdka jedna i druga mruga
już nieśmiało, gwary umilkły, stary bór zczerniał, już się
układa gromada ptactwa. Zgrają już żabki wołają — kum-kum.

Jak żywy, drży już gadatliwy staw... A tam z za boru wie-
czoru lampka w powodzi bladej wychodzi księżyc.

SZARADA.

uł. Wuka.

Pierwsza — czynność basisty,
Skrzypka, albo fiedisty.

Druga z trzecią — to z miny
Lewa strona tkaniny.

Wszystko razem — bez zwady —
Dzieli zwykle sąsiady.

LAMIGŁÓWKA LICZBOWA

A. Z.

8 8 8 8 8 8 8
8 9 9 9 9 8
8 9 2 2 2 9 8
8 9 2 2 2 9 8
8 9 2 2 2 9 8
8 9 9 9 9 8
8 8 8 8 8 8 8

Z 49 liczb w powyższym kwadracie
wykreślić 34 aby pozostałe 15 przez do-
dawnanie dały liczbę 100. Każda z liczb
2, 8, 9, powinna być co najmniej raz po-
wykreślona i co najmniej raz pozostać.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 50-go.

Szarady: Go — spo — dy — nie.

Lamigłówki w trójkącie

S
O T
O s A
K l o N
W ł o s I
P r y m a S
K o ś c i ó Ł
S t e f a n i A
K i s z y n i e w
A m s t e r d a M
C o l o r a d O
P a w i l o N
U s s u r I
M a n r U
G ł o S
F e Z
I K
O

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Baśń o Wyrwidębie i Waligórze, przez Adama Lacha Szymańskiego (z ryc.) — Rady na wakacje, pogadanki z dziedziny higieny, przez A. M. — Błękitna wstęga, powieść z XVII wieku przez Z. Morawską. — Pałac w głębi oceanu przez Maksę Pembertoną (z ryc.) — Nasze ryciny; Pierwsza komunja i Chłopiec piszący obiema rękami. — Ze świata. — Lamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Leonek Lwie serce (z ryc.) — Z księgi przysłów, wiersz przez Lacha. — Wyprawa Jadzi (dok.). — Zabawki z korka (z ryc.) — Lamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Wielkie cele, powieść dla młodzieży przez Irenę Mrozowicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 11 Мая 1903 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska

W drukarni Noskowskiego, Warecka 16.



Leonek Lwie-Serce

I.

Poznajemy bohatera.

Leonek, syn zamożnych obywateli w angielskim mieście F., był miłym i dobrym chłopcem, uczył się dosyć pilnie, tylko jakoś trudno mu było dać sobie radę z tabliczką mnożenia. Niezmiernie nęciły go podróże, niebezpieczne przygody podróżników zachwycały go, lubił przedstawiać wypadki wypraw Jakóba Cooka i wydarzenia z życia Robinsona Cruoe. Mówił zawsze z zapałem, że gdy dorośnie będzie podróżnikiem



jak Nansen, albo oficerem w armii Indyjskiej, jak brat jego matki, wuj Ryszard, który był dla Leonka wzorem odwagi i męstwa, z wielu niebezpieczeństw wyszedł cało, a gdy na urlop przyjeżdżał, opowiadał niezmiernie zajmująco swe przygody i niebezpieczne polowania na lwy i tygrysy, chłopiec, zaś wpatrzony w wuja, słuchał go całymi godzinami.

Gdy ojciec Leonka słyszał o wielkich projektach dalekich i niebezpiecznych wypraw na lądzie i morzu, mawiał z uśmiechem:

— Dobrze, mój synu, okryj chwałą rodzinę i kraj swój, ale pierwszym warunkiem powodzenia wielkiego podróżnika jest wyborna znajomość tabliczki mnożenia!

Wtedy Leonek rumienił się zwykle po uszy i odpowiadał:—wiem o tem tatusiu, i przez dwie następne lekcje uczył się pilnie nie ulubionej tabliczki.

Ponieważ Leonek był zdrow jak ryba, rześki i bardzo ruchliwy chłopczyk, odznaczał się więc dobrym apetytem, który niestety przechodził czasem w łakomstwo, lecz to na szczęście zdarzało się bardzo

rzadko, zresztą bohater nasz, dobrem był dzieckiem, szczerze kochał rodziców i starszą o parę lat trzy-nastoletnią siostrzyczkę, Elżunię.

II.

Wizyta u ciotki.

W chwili gdy zaczyna się nasze opowiadanie, było to w końcu wakacyi, w pierwszych dniach-września, od tygodnia w domu rodziców Leonka bawił brat jego stryjeczny Edwardek. Może dlatego, że był zupełnym przeciwieństwem Leonka, chłopcy kochali się bardzo, doskonale bawili się razem i poważny Edwardek ciekawie i z pewnym uznaniem wyższości słuchał wielkich projektów na przyszłość zapalonego Leonka.

Edwardek miał nazajutrz wracać do domu, poprzedniego zaś dnia rodzice Leonka odebrali wiadomość, że babcia jego, matka mamy mocno zachorowała. Mieszkała ona o kilkanaście wiorst od F. i państwo K. postanowili zaraz od rana pospieszyć do chorej, zostawiając chłopców pod opieką rozsądnej Elżuni.

Państwo K. mieszkali we własnym domu, do którego należał ładny ogród, gdzie chłopcy spędzali dni całe, grając w piłkę, w kręgle i najrozmaitsze gry.

Niedaleko od F. leżała w uroczym położeniu, otoczona zielonemi pagórkami wieś Greendel, tam w starym domu rodzinnym mieszkała siostra pana K. ukochana przez wszystkich ciocia Wiktorya. Była to osoba czterdziestokilkoletnia, cierpiąca na silny reumatyzm, który niekiedy zmuszał ją dni całe spędzać w fotelu lub na kanapce, pomimo to była ona zawsze tak pogodnego umysłu, tak myśląca o innych i umiejąca sprawić przyjemność ukochanym bratanekom, że dzieci uwielbiały ją i prawdziwą dla nich przyjemnością były wizyty u cioci. Miała ona zawsze kwitnące kwiaty w doniczkach, akwaryum ze złotymi rybkami, śliczne kanarki w klatce i oszkloną szafę pełną osobliwych muszli, było tam także wiele wypchanych ptaków, gustownie ustawionych na maleńkich sztucznych skałach, to wychodzących z grot lub siedzących w prawdziwych gniazdach. Duży salon cioci był dla dzieci jakby miłym gabinetem logicznym; ciocia dawała chętnie wszelkie

nia na każde pytanie a dzieci, zachwycając się pięknymi muszlami lub ptakami, bardzo przyjemnie uczyły się w ten sposób historii naturalnej. Do tej ukochanej cioci Edwardek pragnął pójść z pożegnaniem, a że dzień był piękny, więc postanowiono po obiedzie udać się do Greendell.

Państwo K. trzymali tylko dwoje służby: kucharkę i lokaja, którego obowiązkiem było także doglądanie konia, choć pan K. sam zwykle powoził. Zdarzyło się, dnia tego że kucharka, korzystając z nieobecności państwa, poprosiła Elżunię, by jej po obiedzie pozwoliła odwiedzić chorą siostrę mieszkającą za miastem, obiecywała, że nim dzieci wrócą z Greendell, ona już będzie w domu.

Elżunia zaraz poobiedzie poczęła wybierać się w drogę, bo wiedziała, że krótki dzień wrześniowy zleci jak oka mgnienie. Chłopcy zaś pobiegli jeszcze na podwórze, gdzie z zapałem grali w piłkę. Elżunia, widząc, że zapomnieli o wizycie, poszła ich zawołać. Spokojniejszy Edwardek poszedł natychmiast umyć się i uczesać, lecz żywy Leonek był tak spocony, zadyszany i znużony, iż oświadczył że nie jest w stanie pójść do Greendell. Wszedłszy do domu, rzucił się na fotel i pomimo przedstawień siostry, że odpocząwszy, będzie mógł powoli odbyć tę miłą przechadzkę, zdecydował, że zostanie w domu na gospodarstwie, a w niedzielę powetuje sobie wizytę u cioci.

Napróżno Elżunia dowodziła, że ponieważ mama powierzyła go jej opiece, ona nie może brata samego zostawić w domu, Leonek obrażał się mówiąc, że nie jest już dzieckiem, że jest uczniem pierwszej klasy, mężczyzną, że się niczego nie boi, niech oni pójdą z pożegnaniem, a jemu się nic złego w domu nie stanie. Cóż miała robić biedna Elżunia, kazała więc Janowi na krok z domu nie wychodzić, dać Leonkowi o piątej godzinie herbaty z pozostałym z obiadu ciastem, które chłopczyk bardzo lubił, włożyła palto-cik, kapelusz, rękawiczki, parasol zabrała nawet, i poszli oboje z Edwardkiem, ale brakowało im bardzo rozmownego i wesołego Leonka.

(d. c. n.)



Z księgi przysłów.

XII.

Zosia bardzo jest niedbała,
Choć to wielce jest nagannie,
I szczególnie nie, przystoi
Niedbałością grzeszyć pannie.

Zosia, panna już nie mała,
Wnet lat dziewięć będzie miała,
Więc oszczędźcie tylko sami:
Czy ta wada jej nie plami?

Wczoraj mama dała Zosi
Wierszyki do przepisania,
Przez niedbalstwo jej pianie
Trudne było do czytania.

Kleksów, kresleń w tym wierszyku
Na stronie było bez liku,
Wypadłoby z dwie godziny
Czytać te jej bazgraniny.

Więc mama ponownie Zosi
Wierszyk przepisać kazała,
Bo to zawsze tak już bywa!
Dwa razy robi niedbała.

Lach.

Wyprawa Jadzi.

(Z prawdziwego zdarzenia).

(Dokończenie).

— Naprawdę, naprawdę! O, jakaś ty rozumna, daj rączkę, to cię pocałuję, ach Boże, jakaś ty rozumna!

W Białymstoku dziewczynki wysiadły i zatelegrafowały: „Wyjechałam do mamusi, przebacz tatu-siu, Jadzia,” potem zjadły nieco chleba, wziętego na zapas przez Jadzię i pomarańczę owej dziewczynki. Ona także miała imię Jadzia. Miała już 15 lat i wracała do Warszawy na pensję ze świąt Wielkanocnych, spóźniła się o całe trzy tygodnie z powodu przebytej odry i poraz pierwszy jechała sama nie z ciocią, która była nauczycielką na tej samej pensyi.

— Teraz śpij, Jadziu, masz już trochę oczyszczone sumienie.

— A ty?

— Dosyć już spałam, no raz, dwa, trzy, śpij.

Jadzia uśmiechnęła się, ziewnęła i w pięć minut spała już smacznie.

Obudziła ją duża Jadzia dopiero w Warszawie, poprawiła włosy, i sukienkę.

— Możebyś wypila kawy? — zapytała.

— O nie, ja chcę jechać coprędzej.

Wzięły razem dorożkę. Śliczny był to dzień, Warszawa cała w słońcu piękna była jak nigdy. Przejechały most, mięły Zamek, Zygmunta, pomnik Mickiewicza. Mała Jadzia wołała co chwila — ach, to zamek, to Mickiewicz, to pałac Kazimierowski!...

— Skąd wiesz, byłaś tu dzieckiem trzyletniem?

— Przecież mam karty pocztowe, mamusia poradziła mi zbierać widoki kraju, bo przedtem zbierałam koty, ale to niemądrze... koty były zabawne... jak sprzedawałam album, wyjęłam widoki kraju, a koty zostawiłam... będę miała żywego... wszystko mam na kartach, i Zamek i Sobieskiego i Łazienki całe, mam Częstochowę, Kraków, dolinę Mickiewicza, mam Wilanów.. niektóre mam karty podwójne, dam tobie, zbieraj także, ja mam już 98!

— Adres pamiętasz dokładnie?

— Żórawia 15, ale mieszkania nie znam... Boże, takie ogromne domy, jak ja nie znajdę mieszkania babci!

— E, przecież odwiozę cię do końca, odprowadzę do samych drzwi babci, jużbym i tak przed

pauzą na lekcye nie poszła, bo pani przełożona zaraz każe się z drogi myć i czesać, potem jak zaczniesz karmić! Oho, na naszej pensyi tak dobrze jeść dają. Choć to mi nie po drodze, każemy jechać Żórawią, dorozkarz zaczeka, zanim cię odprowadzę, a potem pojedę dalej — już będę miała trzy minuty tylko drogi.

Dojechano do N-ru 15-go. Dziewczynki wyskoczyły z dorożki i pędem wielkim pobiegły ku stróżowi, by zapytać o mieszkanie pani Zielińskiej — „która tu napewno mieszka i jest chora na reumatyzm...”

— Druga brama, pierwsze piętro., to tam taka młoda pani jest z malutkim chłopczykiem?

— Tam, tam!

W mgnieniu oka znalazły się w drugiej bramie na I-em piętrze u drzwi z tabliczką: „Michał i Zofia Zielińscy.”

— Dzwoni i do widzenia, koniecznie odwiedź mię na pensyi, i powiedz jak cię mamusia przyjęła, ja gdybym była na jej miejscu, dobregobym ci dała klapsa a potem dopiero połażała na przywitanie, no pamiętaj w niedzielę między 5-tą a 7-ą koniecznie.

Duża Jadzia po chwili jechała już na pensję, mała stała u drzwi babci i tak serduszko jej się tłukło, że aż nie mogła podnieść ręki do dzwonka. Zadzwoiła wreszcie. Otworzyła jej służąca, wprowadziła do przedpokoju. Ciemno tam było.

— A co to? — pyta służąca.

— Do młodszej pani, do pani Olszewskiej.

— Proszę tu zaczekać!

Słyszy Jadzia jak służąca mówi do mamusi:

— Proszę pani, jakaś dziewczynka przyszła z paczką jakąś, mówi, że do pani, pewnie z magazynu a może po prośbie... i słyszy głos jej, głos mamusi:

— Cóż to za interes, idę!

Wchodzi mama do przedpokoju i rozgląda się, Jadzia nie widzi dokładnie.

— Gdzież ta dziewczynka?

Tu już Jadzia wytrzymać nie mogła.

— Mamusiu, to ja, ja jestem! Na szyję mamusi skoczyła, ściska ją, aż dusi. Na szczęście, mama Jadzi nie była nerwową, nie zemdłała z przestachu, ani spazmów dostała ze wzruszenia, porwała tylko córeczkę na ręce i wśród pocałunków pytać zaczęła:

— Skąd, jak, a tatuś gdzie?

Gdy się mamusia dowiedziała skąd, jak i gdzie tatuś, nie dała Jadzi wprawdzie klapsa, ale rozgniewała się na seryo i powiedziała jej, że jest lekko-myślna i niema ani odrobiny przywiązania do tatuś, którego na straszny niepokój naraziła.

Na szczęście w południe przyszedł telegram od tatusia: pytał, czy Jadzia szczęśliwie dojechała i obiecywał przyjechać za trzy dni. Babcia, chociaż chora i osłabiona, ucieszyła się ogromnie na widok Jadzi, a dziadek wciąż powtarzał:

— Zuch dziewczyna, to mi się podoba!

Braciszek zapewne poznał Jadzię, bo zaczął wołać:

— Uu, uu!

Jadzia postanowiła sobie, że już takiego niepokoju nigdy nie zrobi nikomu, i nigdy nic bez nanyślu i wiedzy rodziców nie uczyni.

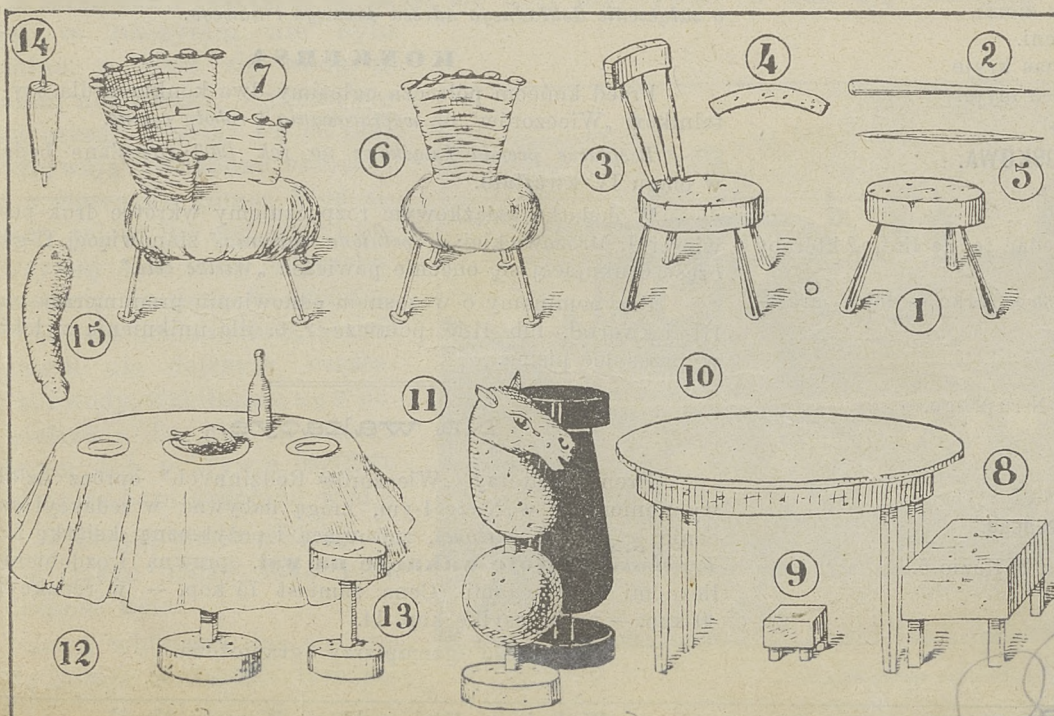
Wanda Studnicka.

ZABAWKI Z KORKA.

Śliczne i bardzo łatwe do wykonania zabawki! Dwunastoletni Zygmus umie je bardzo dobrze wykonywać, a jego siostra dziewięcioletnia Mania dzielnie mu w tej fabrykacji pomaga, bo te mebelki, które na naszej rycinie podajemy, służyć będą jej małej lalce.

Zygmus niekosztownie używa materiałów. Zbiera skrętnie korki wszelkiej wielkości i kształtu, korki to podstawa jego arcydzieł, oprócz nich zbiera szpilki, z dużymi główkami i upalone zapałki: ma przytem zawsze scyzoryk w kieszeni, ale umie się z nim obchodzić, więc nie skaleczył się jeszcze nigdy jego ostrzem.

Lalka Mani posiada meble ogrodowe i salonowe. Oto Zygmus odkroił z korka od butelki równy krążek; zaostrzył trzy zapałki równej wielkości, wbił ostrza w korek i już ma stółek oznaczony na rycinie



numerem 1. Jeżeli zaś w inny krządek wbije cztery zapalki, a następnie doda doń oparcie będzie miał krzesło (2), poręcz tworzą trzy zastrzone z obu końców zapalki i pasek korkowy (nr. 3 i 4.) Numery 8, 9, 10, 12 i 13 są również meblami z korka i z zapalek zrobionymi, nie opisujemy ich szczegółowo bo każdy z uważnych czytelników, jeśli zechce naśladować Zygmunta, potrafi je chyba sam według podanego rysunku wykonać. Można je też wodną farbą pomalować. Meble salonowe (nr. 6 i 7) są trochę trudniejsze do zrobienia: Fotel i krzesło mają siedzenie z korka okryte kawałkiem wstążki, sukna, aksamitu stosownie do gustu młodych tapicerów. Tutaj Mania dostarcza materiału swemu bratu i ona obszywa siedzenia. Cztery szpilki w nie utkwione tworzą nóżki i szpilki również tworzą podstawę oparcia, gdy już są równo wpięte w siedzenie, Mania opłata je według podanego wzoru wążutką wstążeczką: ma nawet dwa krzesła wyplatane złotym sznureczkiem, którym obwiązane było pudełko cukierków, przyniesione mamie przez wujka Stasia. Kochany wuj Staś! On to właśnie pomógł Zygmunsiowi w wyrobieniu z korka dwóch figur szachowych: konia i wieży, gdyż właśnie dwie te figury maleńka Zosia popsuła. To trzyletnie maleństwo potrafi wcisnąć się wszędzie i bawić tem właśnie, co stłuc lub zepsuć łatwo. Na rycinie widzimy jeszcze numery 14 i 15; pierwszy z nich jest środkową częścią stołka (nr. 13, a piętnasty to wałeczek z korka, na którym laleczka opiera głowę, kiedy zmęczona upałem, leży na trawie w cieniu bżów ogrodowych.

SZARADA.

ul. Czesia z Pińska.

Pierwsze drugie bardzo znane
Zamiast *dwóch* jest używane.
Młóci, miele, wozi, przedzie,
Ulgą w pracy służy wszędzie.
Trzecie górnik kopie w ziemi,
Kiedy **o** na **o** się zmienia.
Wszystko przyrząd co nas kryje
Gdy upały — lub deszcz myje.

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

A. Z.

Do niżej podanych wyrazów dodać jedną literę, któraby zmieniła ich znaczenie:

Lin — ale — era — rak — osa — arka — łój — ara —
kra — raj — anna — ruda — oda.

RÓZWIAZANIA DO N-ru 20-go.

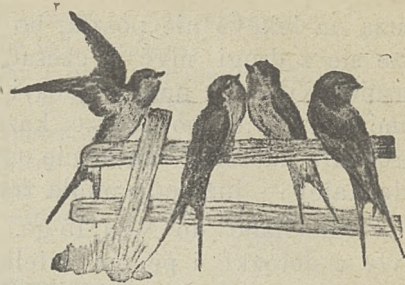
Zagadki: R a n e k .

Zadania arytmetycznego:

Ojciec ma lat 40, Helenka 8, Kazio 5.

Zagadki: Ślepy koń.

Skrzynka do listów.



Panu B. Pogorzelskiemu. Zakładów rządowych, któreby przygotowywały do gimnazyum, niema, bo za taki uważa się właściwie klasa przygotowawcza, do której łatwo wstąpić z wychowania domowego. Ze szkół prywatnych ogólnie kształcących, przygotować mogą do wstępnej i pierwszej klasy znane nam zakłady: I. Przyłuskiego (ze slōjdem) Skłodowa 3, K. Grochowskiego Nowy-Świat 31, B. Świerczkowskiego Elekoralna 17 i kilka innych.

Pani A. K. W sprawozdaniu zaszła istotnie omyłka drukarska, nagrodę przyznaliśmy *Maryńci Karyszkowskiej* i już ją wysłaliśmy pod wskazanym adresem.

Mimozie wysłaliśmy nagrodę i numer 3, należy nam się 12 kop. które można odesłać markami.

Rozwiązanie zadań oraz lamigłówni własnego układu nadesłali: Rączy Kasztanek, Kirpacz z nad Dniepru, B. Mark, Marysia Rogulska, Mimoza, Wojtuś i Kubuś, Pensyonarka, Biała Gołębka, Zwinny Gimnastyk, Tadeusz K., Elwira i Marynia Z.

Z powodu choroby Jaskółka nie mogła przygotować odpowiedzi na listy, otrzymane w tym tygodniu, odpowie na nie w skrzynce przyszłego numeru.

Od Redakcyi.

Z powodu wyjazdu na wakacje.

Prenumeratorzy nasi warszawscy, pragnący otrzymywać „Wieczory Rodzinne” w czasie wakacji w miejscu swego letniego pobytu, zechcą złożyć na koszt przesyłki pocztowej po 10 kop. za każdy miesiąc. Prenumeratorzy zamieniający, na przeciąg letnich miesięcy swój adres, zechcą nadesłać 14 kop. markami za zmianę adresu. *Jednych i drugich prosimy o załączenie dokładnego adresu dawnego i nowego.*

KONKURSA

Przed końcem półroczu ogłosimy dwa konkursy dla czytelników „Wieczorów” na *wypracowania i roboty ręczne.*

Bezpłatne premia książkowe na rok 1903 rozesłane będą w ciągu IV kwartału.

W dodatku książkowym rozpoczniemy wkrótce druk powieści J. Mrozowickiej: „*Spełnione marzenia,*” stanowiącej II-gą część drukującej się obecnie powieści: „*Wielkie cele.*”

Przypominamy o wczesnem odnowieniu prenumeraty na III-ci kwartał, lub II-ie półroczu r. b. dla uniknienia zwłoki w przesyłce pisma.

Na wakacje.

Prenumeratorzy „Wieczorów Rodzinnych” oprócz dzieł wymienionych w N-rze 1-ym, mogą nabywać w redakcyi po cenie *wyjątkowo znizonej*, zajmującą i pożyteczną książkę M. Brzezińskiego, **Moje wakacje na wsi**, oprawną i ozdobioną licznymi ilustracyami. Cena zamiast 75 kop. — w redakcyi 40 kop. — na przesyłkę kop. 14.

Ilość egzemplarzy ograniczona.